

Pozycja Kazimierza Górskiego była wówczas bardzo mocna. Walne Zgromadzenie zagwarantowało mu wolną rękę w wyborze ścisłego kierownictwa PZPN nawet spoza kręgu członków zarządu. Górski okazał się jednak demokratą w każdym calu – nie skorzystał z możliwości utworzenia „dyrektoriatu koleśków”. Zaproponował tylko (i uzyskał zgodę) utworzenia dziesięcioosobowego zespołu sportowo-szkoleniowego, w którym obok trenerów: Leszka Jezierskiego, Ryszarda Kuleszy, Andrzeja Strejlaua i Edmunda Zientary byli także dwaj wiceprezesi – Marian Dziurawicz i Jerzy Lechowski. To oni mieli płynąć pod prąd.

Błyskawicznie potęgowało się „urynkowanie piłki nożnej”. Z kraju wyjeżdżali najlepsi, natomiast do naszej ligi sprowadzono graczy miernej jakości. W tej sytuacji grupa sportowo-szkoleniowa szybko zareagowała: „Zespół, rozumiejąc nieuchronność tego rodzaju procesów, pragnie jednocześnie przestrzec przed dalszą wyprzedzą zawodników. Wymagają tego interesy naszej ligi i reprezentacji. Nie zapominajmy, że wykładnikiem poziomu piłkarstwa w każdym kraju jest przede wszystkim drużyna narodowa”. Apel pozostał bez echa, a reprezentacja coraz bardziej kuląła. Dna sięgnęła w meczu ze Szwecją na wyjeździe. Niedawno kręciłem nosem, gdy – po w miarę wyrównanej grze – w Malmö było 0:1, a w Sztokholmie 1:2, teraz odebrało mi mowę, po klęsce 0:5. Raport przed członkami prezydium PZPN złożył Strejlau. Mnie się upiekło, bo akurat wtedy w Sztokholmie nie byłem. Andrzejowi zasychało w gardle, gdy meldował:

... „Nasza drużyna w każdym elemencie wyszkolenia była wyraźnie słabsza od zespołu Szwecji. Wyjątkowo niski u polskich piłkarzy był poziom motoryki, zwłaszcza szybkość. W zasadzie tylko trzech zawodników Jacek Ziobor i Roman Kosecki, a w drugiej połowie także Krzysztof Warzycha dorównywało umiejętnościami przeciwnikom”.

Przyczyna? Moim zdaniem głównie dla bramkarza Kazimierza Sidorczuka oraz graczy z pola: Piotra Jegora, Dariusza Skrzypczaka, Jerzego Podbrożnego i Janusza Góry były to stanowczo za wysokie progi. Zresztą w meczach ze Szwedami rzadko kiedy byliśmy górą, z reguły przewyższali nas organizacją i kulturą gry. Ale tym razem głównie z powodu beznadziejnego przygotowania fizycznego dostaliśmy tak mocno w pupę. Co na to Strejlau? Zawodników słabych kondycyjnie lub za późno przyjeżdżających na zgrupowania, bankietowców słusznie odsyłał do domu. Miał pełne poparcie Wydziału Szkolenia. W prezydium i zarządzie PZPN już nie. Podniosła się demagogiczna wrzawa, także w mediach sugerowano, że mamy wybitnych piłkarzy, tylko trener jest nie za dobry. Czy dlatego, że napiętnował tych najbardziej rozrywkowych? Podjęto w Alejach Ujazdowskich uchwałę, z której dość jasno wynikało, że decyzje selekcyjnego były chybione. Górą ignoranci i dobrzy wujkowie! Czy w tej sytuacji możliwe były lepsze wyniki reprezentacji?

Na początku lat dziewięćdziesiątych dla delegatów na Nadzwyczajne Zgromadzenie PZPN znacznie istotniejsza była odpowiedź na pytanie: – **Co dalej z I, II i III ligą?** Prezes Górski, zewsząd zbierający gratulacje i wysłuchujący głośnego „Sto lat”, w swoim wystąpieniu apelował o zachowanie rozwagi przy omawianiu kształtu tych klas rozrywkowych. Był to głos wołającego na puszczy!... Tu już żadnych sentymentów nie było. Co tam Górski?! Co tam reprezentacja?! Umiłowanie własnego klubu i samego siebie, podlizywanie się delegatom – wszystko to wzięło górę nad sympatią do prezesa i losami drużyny narodowej. Triumfowały: prywatna, partykularyzm, szowinizm lokalny i interesy ligowców z przerosłem ambicji. Chcą potęgą być i basta!

Ten Nadzwyczajny Zjazd PZPN odbywał się teatrze „Buffo” w Warszawie. To świątynia rozrywki, zazwyczaj pełno w niej ognistych tańców, dowcipu, humoru i satyry wytykającej nam wszelkie przywary. Dobry kabaret. W „Buffo”

w szaty ludzi estrady tym razem ustroili się działacze piłkarscy. Przyjęli wrocławską propozycję prezesów 12 klubów i... powiększyli „ekstraklasę” do 18 drużyn. Rozbudowali też II ligę (dwie grupy po 18 drużyn), zaś III ligę ulokowali w 8 makroregionach: gdańsko-pomorskim, śląskim, małopolskim, lubelskim, łódzkim, wielkopolskim, warszawsko-mazurskim i dolnośląskim. Dyskusja i końcowe decyzje w tej sprawie przypominały kiepski kabaret.

Pojawiły się też głosy rozsądku. Zapowiedziano oczyszczenie zachwaszonego przedpoła. Wyraźnie zmierzano w kierunku dostosowania naszych przepisów i regulaminów do norm międzynarodowych (zacieśnienie współpracy z FIFA i UEFA) i do zmieniających się w kraju warunków społeczno-ekonomicznych. Za konieczną – w świetle nasilającego się łapówkarstwa – uznano bieżącą analizę dochodów i wydatków w klubach oraz oszczędną gospodarkę finansową Związku. Pilną potrzebą stało się również wzmożenie wysiłków w celu wprowadzenia w Polsce futbolu profesjonalnego (licencyjnego) oraz utworzenia przez PZPN szkoły trenerskiej i własnego ośrodka metodyczno-szkoleniowego. Usiłowano więc wyjść naprzeciw wyzwaniom nowej rzeczywistości, ale przeszkód w ich realizacji było więcej niż szczerych chęci i wiedzy o „dobrej robocie”.

Rok 1991 chyba tylko dla Kazimierza Górskiego był w pełni udany. Środowisko wyniosło go na fotel prezesa PZPN dokładnie w siedemdziesiątą rocznicę urodzin. Była wielka feta. W dużej sali recepcyjnej hotelu „Victoria” w tej samej, w której przed rokiem z honorami goszczono prezydenta FIFA, Joao Havelange’a, przyjaciele zgotowali Jubilatowi widowisko iście królewskie. Strawy było początkowo niewiele, ale uczyty dla ducha – więcej niż podczas dziś tak popularnych benefisów wybitnych osobistości w Teatrze Stu w Krakowie. Sięgam po pamiątkowe zdjęcie z tej urodzinowej gali w „Victorii” – same sławy ze świata Melpomeny i aren sportowych: Irena Szewińska, Magdalena Zawadzka, Ha-

lina Kunicka, Grażyna Torbicka, Stanisław Tym, Wiktor Zborowski, Zbigniew Wodecki, Andrzej Supron oraz najbliżsi Górskiemu z boisk piłkarskich – Stefan Grzegorz, Jerzy Lechowski, Michał Listkiewicz, Henryk Loska i inni. W samym środku tego niecodziennego ujęcia – solenizant Kazimierz, tuż obok jego żona Marysia, moja Danusia i Krystyna Loska.

Było bardzo rodzinie, przyjemnie, bohater dnia tryskał dowcipem. Stanisław Tym do łez rozbawił towarzystwo okazjonalnym monologiem, a Magdalena Zawadzka z ogromnym wdziękiem zaśpiewała: – „**Kaziu, Kaziu zakochaj się!**”. W ogóle występ niepowtarzalny! Ktoś wyrecytował wiersz przygotowany na tę uroczystość przez Wojciecha Młynarskiego, ktoś inny odczytał najpikantniejsze fragmenty z książki tercetu autorskiego: Kazimierz Górski – Stefan Grzegorz – Jerzy Lechowski „**MOJE 70 LAT**” czyli „**Sekrety trenera Górskiego**”. Mnie przypadły do napisania w tej publikacji trzy rozdziały: „Dziecko Lwowa”, „Łazienkowska i okolice”, „Tak go widzą inni” oraz spore fragmenty „Wygnanie czy nowa przygoda”. Finał w atmosferze jak „u cioci na imieninach”, w „zielonym barku”, zaś dla najwytrwalszych w „Czarnym kocie”, nocnym lokalu „Victorii”. Orkiestra grała lwowskie melodie.

Kto bliżej nie znał Górskiego, tam właśnie poznał go w pełnym wymiarze. Towarzyski facet, każdemu przyjazny, chętnie podpisywał swoje „Sekrety...”, odporny na toasty, śpiewający. Tylko na tańce nie miał ochoty. Taki był zawsze. A jak postrzegali go inni? Myślę, że fizyczną i psychiczną strukturę Górskiego bardzo dokładnie ukazali jego przyjaciele właśnie w książce „**Moje 70 lat**”.

Michał KRAUS, były piłkarz Pogoni i Spartaka Lwów: – Lubił towarzystwo, niekiedy mówił, że „w domu to ludzie umierają”. Typowy napastnik.

Ryszard KONCEWICZ: Nic, co piłkarskie nie jest mu obce: grał w lidze i reprezentacji, pracował z juniorami i seniorami w klubach i reprezentacjach. Układ ja i Górski? Nasze sprawy zawodowe nie wpłynęły na osobiste.

Jan BOCZEJ, lwowianin, działacz Polonii Bytom, Legii Warszawa i PZPN: – Z zawodnikami z reguły rozmawiał indywidualnie, lubił też pogwarzyć z ich żonami. Na ławce trenerskiej powściągliwy, reagował kulturalnie, nie beształ zawodników, był dla nich wyrozumiały, przyjacielski...

Edward POTOREJKO, lwowianin, były sekretarz generalny CWKS Legia: – To skromny człowiek, wyrozumiały, ujmujący, ale chyba zbyt delikatny w życiu i... łatwowierny. Uczciwy, koleżeński, przyjacielski... Nigdy nie wykorzystywał dobrych znajomości.

Edmund ZIENTARA, były piłkarz ligowy, kapitan reprezentacji: – Solidnie podchodził do pracy. Czym się różnił od Bobka? Był lepszym fachowcem. Prowadził interesujące życie. Bobek był apodyktyczny, Górski umiał znaleźć z nami wspólny język. Zmuszał ludzi do myślenia i tworzenia.

Wiesław MOTOCZYŃSKI, były selekcjoner i wiceprezes PZPN: – Kazio to dobry organizator, jest współtwórcą rozgrywek o Puchar im. Jerzego Michałowicza. Przekazywał zawodnikom te wartości, którymi wcześniej sam imponował. Preferował wyszkolenie techniczne... Nie znosił graczy bez charakteru!

Ryszard KULESZA, były selekcjoner i wiceprezes PZPN: – Dobrze wspominał Waclawa Kuchara, Edwarda Brzozowskiego, Tadeusza Forysia, Ryszarda Koncewicza. Od nich przejmowałem wiedzę i doświadczenie. U Górskiego imponowała mi prostota poczynań, nieskomplikowana taktyka, jasna i dla wszystkich zrozumiała filozofia działania. Integruje każdy zespół, niczego nie narzuca, w grze daje szansę na improwizację...

Stanisław NOWOSIELSKI, były prezes PZPN: – Zawsze miał koncepcję własną, praktycznie już wszystko wiedział, ale do końca nie lekcewał opinii innych. Z reguły był opanowany, ale potrafił też wrzasnąć na swoich asystentów „K..... mać, co wy robicie?!”. Potem szybko się reflektował: – No dobrze, dziękuję... Zróbmy to tak i ... krótko wyłuszczał swoją wizję i argumenty.

Henryk LOSKA, były działacz klubowy, wiceprezes PZPN: – Jako trener miał jakiś szósty zmysł. Trafiał w dziesiątkę!... W Murrhardt zaimponował mi w tzw. „sprawie Musiała”. Było to, po wspaniałym meczu z Włochami, piłkarz za późno wrócił do hotelu.:

– Adaś pozwól... Porozmawiamy. Co to, zegarek ci stanął?...

A potem zawiesił lewego obrońcę. Zapytałem Górskiego, dlaczego zdecydował się na taki krok.

– Trzeba było zrobić mały wstrząsik, bo... za dobrze idzie. Niektórzy myślą, że już są mistrzami świata...

Włodzimierz LUBAŃSKI, były kapitan reprezentacji: – To drugi ojciec! Swoistą rodziną była dla niego cała drużyna... Darzyliśmy więc trenera olbrzymią sympatią i bezgranicznym zaufaniem. Pani Maria Górka czasami dziwiła się, że traktujemy go jak ojca. Żartowała: – A może on naprawdę prowadzi drugie życie? Jeżdżę teraz po całej Europie, spotykam tam pana Kazimierza, gwarzymy przy piwku bądź szklaneczce whisky...

Andrzej STREJLAU, były trener-selekcjoner: – Trener Górski nigdy nie był egoistą w swojej pracy, szanował wysiłek innych. Ufał im i życzył sukcesów. Ale też wymagał, żeby opiekunowie młodszych zespołów pamiętali o priorytecie pierwszej reprezentacji... Zabierał mnie na konferencje prasowe, mówił – będziesz się uczył... Nasz zespół jeszcze nie osiągnął najlepszej formy, trzeba to umiejętnie wytłumaczyć redaktorom... On działa na zawodników mobilizująco, a nie bulwersująco. Umiał wyzwolić ambicje reprezentantów: – Jesteście najlepsi. Kluby z krajów zachodnich chyba nie przypadkowo was wykupiły.

Lesław ĆMIKIEWICZ, mistrz olimpijski, trener: – Po meczu z Anglią na Wembley byliśmy w dyskotecie. Wróciliśmy późno, mocno „zmęczeni”. Podczas śniadania trener spojrzał na nas i pokiwał głową.

- Słabo wyglądacie panowie!... Przydałaby się wam lampka koniaczku...
- A pan trener się z nami napije?
- Czemu nie?

Jan TOMASZEWSKI, były reprezentant Polski: – Powołał mnie na mecz z Walią w Cardiff, pocieszał: – Psy szczekają, karawana jedzie dalej!... Jego atuty? Wychowawca, psycholog, bystry obserwator, wiedział jak kreować indywidualności. Kazimierz Górski był trenerem i selekcjonerem! Niczego nie wymyślał za biurkiem... Wszystko sprawdzał na boisku.

Nadal istniały dwie reprezentacje seniorów. Najlepsi z klubów krajowych i zagranicznych tworzyli drużynę A i kontynuowali rozgrywki o mistrzostwo Europy. Zespół młodzieżowy-olimpijski obrał kierunek na Olimpiadę w Barcelonie. Bieżące zadania realizował pomyślnie: wygrał mecze rewanżowe z Turcją i Anglią oraz oba z Irlandią. Bilans zaskakująco dobry: 6 kolejnych zwycięstw, 12 zdobytych punktów i różnica bramek 12-2. W równie imponującym stylu awans do finałów mistrzostw Europy w Niemczech wywalczył zespół juniorów Under – 18. W eliminacjach same zwycięstwa i ani jednej straconej bramki! W pracy z młodzieżą, tak w PZPN jak i w WOZPN, pomagałem nie opuszczającemu mnie szczęściu. Wszędzie było mnie pełno: na treningach i zgrupowaniach, na meczach kontrolnych, mogłem więc śmiało powiedzieć, że „pańskie oko konia tuczy”.

Pilnie śledziłem też ostatnią fazę przygotowań „olimpijczyków” do Igrzysk w Barcelonie. Decydującą rolę w długim cyklu szkoleniowym odegrało zgrupowanie tej kadry z Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Reprezentowałem tam prezydium PZPN, ale wciąż pamiętałem, że jestem dziennikarzem. Po raz ostatni w swej karierze zawodowej opisywałem tę wyprawę w dwóch czasopismach – „Przeglądzie Sportowym” i „Piłce Nożnej”; przepracowałem w nich w sumie prawie czterdzieści lat. Było, minęło. Korespondencje z Dubaju i Sharjah prze-

kazywałem wyłącznie z dobrej woli, dla przyjemności, a nie z redakcyjnego obowiązku. Mile wspominam podróż nad Zatokę Perską, wszak po drodze i później w towarzystwie Antka Piechniczka, który pracował wtedy w ZEA oraz tete'a tete z Januszem Wójcikiem lub Pawłem Janasem, gustując przy okazji w „Jasiu wędrowniczku”, snuliśmy ambitne plany na przyszłość. Henio Loska pił bardzo rzadko i mało, a jednak mocno się rozczulał:

Z tą drużyną zjeździłem już kawałek świata, ale chyba dopiero tu w Emiratach poczułem się jak u Pana Boga za piecem. Gdzie indziej o tej porze roku znaleźlibyśmy tak znakomite warunki do pracy i taką życzliwość gospodarzy? Chłopcy to widzą i doceniają...

Za znakomity wikt i opierunek, klimatyzowane pokoje w nowoczesnym hotelu „Continental” i dobrze utrzymane boiska, młodzi piłkarze odwiedzali się doskonałą postawą w grach kontrolnych. 8:0, 6:0 i 8:0 – to były znaczące sygnały ich piłkarskiego potencjału. Wtedy Wojtek Kowalczyk i Andrzej Juskowiak, czołowi strzelcy z Barcelony, byli jeszcze w cieniu Grzegorza Mielcarskiego, Tomasza Wieszczyckiego i Jerzego Brzęczka, ale ich snajperskie uzdolnienia dojrzewały w oczach. Początkowo Juskowiak fatalnie pudłował, dopiero w meczu z olimpijską reprezentacją ZEA zachwyił nawet Walerego Łobanowskiego.

– To wybitnie uzdolniony napastnik! – pokrzykiwał. – Ten blondyn w obronie (mowa o Tomaszu Wałdochu) też ma przed sobą piękną karierę...

Juskowiak strzelił w tym meczu trzy gole; jeden z nich był w stylu „bomby” Ernesta Pohla ze zwycięskiego meczu ze Szkocją. Wtedy to w Glasgow Ernest „wstrząsnął Hampdem Parkiem”, a teraz Andrzej na stadionie Al Wasl w Dubaju do rozpaczki doprowadził miejscowych działaczy. Prasa dolewała oliwy do ognia:

– Po co nam to było? Taki wstyd! Trenerze Mosjagin, co pan na to?! Nasi mają siłę tylko na 60 minut...

Zmartwionych Arabów pocieszał Antoni Piechniczek, a wtórował mu Walerzy Łobanowski:

– Panowie, spokojnie! To żaden wstyd! Pokonał was finalista najbliższych Igrzysk Olimpijskich w Barcelonie...

Prorocze słowa, finał rzeczywiście był nasz, ale niewiele brakowało, by wysiłek wielu ludzi z ostatnich trzech lat został zaprzepaszczony. W pierwszym meczu decydującym o „przepustce” na Olimpiadę nasi „cudowni chłopcy” przegrali z Aalborg z Danią aż 0:5.

– Młode lwy bez zębów! – Zapomnieć o Barcelonie! – pojawiły się głosy w polskiej prasie.

Znowu siedziałem na tym meczu ramię w ramię z Henrykiem Loską. Milczący i słaby. Twarz papierowa, pali jednego papierosa za drugim. Mnie też szlag trafiał, ale starałem się sięgnąć do źródeł tej kompromitacji. Wyłuszczyłem Heniowi swoje racje:

– Wójcik nie miał dostatecznego rozeznania o wartości Duńczyków... Wiadać sądził, że to „kelnerzy”, nie w pełni ukształtowani piłkarze, zaś niektórzy nasi zawodnicy po udanym zgrupowaniu w Emiratach przedwcześnie poczuli się „piłkarskimi gwiazdami”. Udany etap pracowitych przygotowań w Dubaju i Sharjah przekreślono skłonnościami do wygodniejszego życia. W drodze powrotnej z Aalborg do Warszawy pasażerowie – goście Zbigniewa Niemczyckiego nie mieli ochoty na żarty i olimpijskie toasty. Dmuchali na zimne: premier Jan Krzysztof Bielecki, ksiądz prałat Henryk Jankowski, prezes Kazimierz Górski, zawiedziony Włodzimierz Lubański...

Co dalej? Teraz koniecznie w Zabrzu trzeba wygrać mecz rewanżowy lub w najgorszym wypadku – przy szczęśliwych dla nas wynikach pozostałych spotkań – zremisować. Trener Wójcik chodził jak struty, ale wciąż wierzył w swoją gwiazdę i ambicje piłkarzy: – **Barcelona będzie nasza!** Udało się,

Szkoci pokonali Niemców i utorowali nam drogę do Katalonii. Był to krzepiący gest bogini szczęścia. Postawiła na właściwego konia. Bez naszej drużyny turniej olimpijski byłby okaleczony. Bramkostrzelni Polacy przywrócili futbolowi piękno, ofensywny styl i wiarę, że też może być ozdobą Olimpiad. Finał Hiszpania – Polska (3:2) był widowiskiem pasjonującym, godnym króla sportu!

Było w tej naszej kadrze olimpijskiej wielu utalentowanych piłkarzy. Najlepszych poznałem już znacznie wcześniej w turnieju o Puchar im. Jerzego Michałowicza, klubowych mistrzostwach Polski juniorów i w rozgrywkach organizowanych przez UEFA. Wyróżniał się przede wszystkim Tomasz Wałdoch, duże nadzieje rokował Tomasz Łapiński, wkrótce z dobrej strony pokazali się Andrzej Juskowiak, Grzegorz Mielcarski i Wojciech Kowalczyk. Ten „chłopiec z Bródna” od dziecka starał się drepnąć własnymi ścieżkami. Indywidualista! Gustował w oryginalnych sądach i... bulwersujących opisach z życia piłkarzy. Pupilem Janusza Wójcika był jednak Jerzy Brzęczek, niezły technicznie i... wygadany kapitan drużyny. Mnie specjalnie nie przypadł do gustu, bardziej do roli rozgrywającego pasował Tomasz Wieszczycki. Jeśli niegdyś widziało się w akcji Gracza, „Gigę” Majewskiego, Brychczego, Szoltyśnika, Deynę i Kupcewicza, to... łatwiej o taką opinię.

Najszybciej z tego „wójcikowego” towarzystwa, jeszcze przed Olimpiadą w Barcelonie do pierwszej reprezentacji trafili: Kowalczyk, Wałdoch i Mielcarski. „Kowal” już jako dziewiętnastolatek w meczu z Sampdorią Genua o Puchar Zdobywców Pucharów strzelił dwie bramki dla Legii Warszawa, a zaraz po Olimpiadzie wywalczył z nią mistrzostwo Polski. To z barcelońskiej ekipy osobowość najbardziej wyrazista, ale piłkarsko nie do końca spełniona. Kowalczyk mógł i powinien dokonać więcej! Nie miał na to ochoty. W przeszłości takich

piłkarzy, którzy w równym stopniu pokochali „rozkosze dnia i nocy” było więcej: Pohl, Edmund Kowal, Szymborski, Jankowski, Strzykalski, Słaboszowski, Baszkiewicz, Wspaniały, Monica, Okoński i spora grupka ich mniej utalentowanych rówieśników. Teraz nieco trudniej o taką diagnozę, bo dostęp do ligowych szatni i reprezentacji jest mocno strzeżony.

Dawni trenerzy i selekcjonerzy: Reyman, Krug, Koncewicz, Matyas, Foryś, Motoczyński, Górski, Gmoch i Kulesza, a za ich przykładem zawodnicy byli mniej zamknięci w sobie. Dziennikarza o żyłce działacza traktowali jak bratnią duszę, osobę godną zaufania i... partnerskiej współpracy. Wraz ze zmianą statusu naszego futbolu z „państwowego amatorstwa” na profesjonalny i narastającego podziału na ligowców z kraju i zagranicy zaczęły się pojawiać pierwsze tamy, rodziły się jakieś tajemnicze enklawy, świat reprezentacji stawał się bardziej intymny i zamknięty w sobie. Ukrywano tajemnice warsztatu, taktyki, zarobków?

Jałowe konferencje prasowe nie były w stanie zaspokoić opinii społecznej. Sporo informacji przekazywanych z drugiej ręki bądź niepełnych, okrojonych, traciło walor autentyczności. Raz nawet właśnie z tego powodu zaiskrzyło na linii wiceprezes – selekcjoner. Andrzej Strelau, gdy publicznie pozwoliłem sobie mieć nieco inne zdanie na temat jego współpracy z mediami, zamierzał mnie wezwać przed oblicze sądu koleżeńskiego. W rozmowie w „cztery oczy” uznaliśmy jednak, że gdy walczy się o to samo wspólne dobro, choć nieco inaczej, nikt nie powinien zadzierać nosa. Wyciągnąć tylko ku sobie ręce i w zgodzie dążyć do celu. Szło to topornie. Tylko juniorzy i „olimpijczycy” nie sprawiali kłopotów, natomiast członkowie kadry narodowej powodowali ból głowy i wiele nieprzespanych nocy.

Bardzo aktywne wówczas Koło Seniorów PZPN zaprosiło mnie na jedno ze swoich zebrań. Starsi panowie nie szczędzili słów krytyki. Pytali, czemu przy-

mykam oczy na nieporadność reprezentacji. Żyli tematem, bolała ich niska pozycja Polski w Europie. Przed rewanżowymi meczami z Irlandią i Anglią wręcz do rozpaczy doprowadziła ich kompromitująca przegrana w Poznaniu z Francją 1:5. Staralem się bronić Strelaua i piłkarzy, bo przez 20 minut grali naprawdę dobrze, nawet prowadzili 1:0. Jednak czujny i świetnie znający te sprawy z autopsji Ryszard Koncewicz uznał to za kiepski żart i skwitował krótko: – *Czarno to wszystko widzę!*

„Faja” miał rację, choć wygrana w Gdyni ze Szwecją i remis z Holandią w Eindhoven nie zapowiadały katastrofy. Grano poprawnie. Byłem na tych meczach w towarzystwie Kazimierza Górskiego, był bardziej wymagający, ale nie tracił wiary. Dopiero po kolejnych remisach z Irlandią (3:3) i Anglią (1:1) omal nie trafił go szlag.

– Jerzyk! Zapewne dużo lepiej czuł byś się dziś w tradycyjnej roli recenzenta prasowego, niż wiceprezesa PZPN. Te wyniki – to nasza przegrana, ale pociesz się, że pójdą głównie na moje konto. Zresztą diabli wiedzą, kto teraz bardziej cierpi, Strelau czy ja. A przecież Andrzej to dobry trener. Szkoda tylko, że nie ma równie dobrych wyników...

Nikt jednak w PZPN nie stawiał dla Strelaua szubienicy. Rozgrzeszono go, bo spisał się nie gorzej i nie lepiej, niż wszyscy jego poprzednicy. Finały mistrzostw Europy od dziesiątków lat są dla nas owocem zakazanym. Za wysokie progi? Czasu na rozpamiętywanie było niewiele, bo już kilka tygodni później oczy sympatyków piłkarstwa skierowały się ku stolicy świata, Nowemu Jorkowi. Dokładnie w dniu Świętego Mikołaja 1991 roku odbyło się tam losowanie grup eliminacyjnych przed kolejnym Mundialem. Finały World Cup '94 w królestwie futbolu amerykańskiego! Soccer nie jest pierwszą miłością kowbojów i farmerów, ale biznesmeni uznali, że i na tej grze można zarobić furę dolarów.

ŚLEDZTWO W NOWOJORSKIM KONSULACIE

Z PZPN na to losowanie oficjalnie wydelegowano cztery osoby: prezesa Kazimierza Górskiego, wiceprezesów Jerzego Lechowskiego i Michała Listkiewicza oraz trenera – selekcyjnera Andrzeja Strelaua. Poza tym, praktycznie na własny koszt, wybrali się tam również Ryszard Piechaczyk z Poznania i Władysław Robaszewski z Warszawy. Obaj byli wtedy członkami komisji finansowej naszego związku. Z Warszawy do Londynu poleciliśmy LOT-em, a potem przejęło nas British Airways. Była to oferta bardzo korzystna pod względem finansowym. Zrodziła jednak sporo domysłów i plotek. Zaraz po lądowaniu w Nowym Jorku redaktor Maciej Majewski z tamtejszego „**Nowego Dziennika**” zadał Andrzejowi Strelauowi szokujące pytanie:

– Czy to prawda, że bilety na samolot wykupili wam Anglicy? Tu u nas, w Stanach mówią, że była to dodatkowa premia za „układowy remis” w Poznaniu...

Tylko ten, kto dobrze zna Strelaua, jest w stanie wyobrazić sobie jego reakcję. Gotów był rozerwać zuchwalca na strzępy. Z trudem udało się nam wyprowadzić pana Majewskiego z błędu. Na szczęście pogoda w metropolii Nowego Świata była wspaniała, znacznie cieplej niż w Warszawie i humory rychło się nam poprawiły. Wszystkich gości zakwaterowano w The New York Hilton Hotel przy Avane of the Americas. Cały piłkarski świat – przedstawiciele 141 krajów – znalazł się nagle w jednym miejscu. To city miasta. Stąd zaledwie kilkaset metrów do Central Parku i słynnego Broadwayu. Zamieszkałem w jednym pokoju z prezesem Górskim. To najbardziej znany trener – prezes. Także Michała Listkiewicza serdecznie tu witają, zwłaszcza młodzi z FIFA i UEFA. Uściskali go również Jugosłowianin Miljan Miljanic, Rumun Stefan Kovacs i Holender Rinus Michels. Wysoko cenią Polaka, mówią, że jako sędzia piłkarski dał się poznać z dobrej strony na Copa del Mondo we Włoszech.

Była sobota 5 grudnia. Wybraliśmy się na spacer do Central Parku. Ulice Nowego Jorku nie są w tym dniu łatwe do sforsowania. Wszędzie tłok i coś się dzieje. Tu Murzyni sprzedają różne błyskotki, tam ktoś w sportowym stroju biegnie po chodniku, ktoś inny wskakuje do pubu na piwo, uliczni sprzedawcy zachwalają hamburgery, a na skrzyżowaniu ulic dmuchają w trąbki ludzie z Armii Zbawienia. Huczą syreny barwnych samochodów. W Central Parku jakaś wysoka dziewczyna kłania się panu Kazimierzowi i mówi, że poznała go na mistrzostwach świata w Niemczech. Za chwilę fiaker kolorowej dorożki ostro strzela z bata i krzyczy: – *Panie Górski, co się dzieje z polską piłką nożną?!...*

O piątej popołudniu jesteśmy na koktajlu u Francuzów. Ludzie prezydenta federacji Michela Cogniana i Michela Platiniego podłechtują podniebienia gości krewetkami, homarami, ostrygami i wytwornymi trunkami. Niech piłkarski świat zapamięta szampański gest „trójkolorowych”. Francja ma ambicje zorganizowania w roku 1998 kolejnych mistrzostw świata. Marzy też o tym Maroko. Prezes tamtejszej federacji liczy na wsparcie naszego prezesa. Kazimierz Górski jest tu teraz po prostu rozrywany. Grecy go całują, kupcy i hotelarze z Bermudów przynoszą do naszego pokoju śliczną torbę ręcznie plecioną, a w niej dziesiątki kolorowych prospektów i folderów. Reklama jest dźwignią handlu. Liczą więc ludzie z tej małej wysepki, że jeszcze przed World Cup '94 Polacy ich odwiedzą i dadzą zarobić trochę dolarów.

Wieczorem wielka gala. Najpierw koktajl – gigant w Grant Ballroom Foyer w hotelu Hilton, a zaraz potem niecodzienna kolacja dla ponad 1500 osób w sąsiedniej sali. Podchodzą do „polskiego stolika” prezes Anglików sir Berl Milichip z żoną, a za chwilę szef Holendrów Jo Van Marle. Prezes Kanadyjczyków Keran Pipe zaprasza naszą drużynę na tournée w połowie 1992 roku. Wtórjuje mu wiceprezes amerykańskiej federacji John Edwards. Ten i ów przekazuje pozdrowienia dla Alojzego Jarguza. Znają go z Mundialu w Argentynie i Hiszpa-

nii. W piłkarskim świecie wciąż jesteśmy wysoko notowani. Wyspiarze stosują przy naszym stole biesiadnym autentyczny pressing. Piją z nami i wykrzykują „na zdrowie”! Mamy kłopoty ze skonsumowaniem rolady z łososia i krwistego befsztyka. W rękach tylko kieliszki, tylko chirs i chirs!... Uroczą Barbara Eden śpiewem umiła tę przyjacielską wymianę toastów.

Nagle cała sala wstaje, klaszcze, niektórzy gwizdzą, gdy na podium pojawiają się kapitanka kobiecej reprezentacji Stanów Zjednoczonych Shannon Higgins i najlepsza snajperka niedawnych mistrzostw świata w Chinach, Michelle Akers-Stahl. Pierwsza ma ładną, prawdziwie dziewczęcą buzię, druga – jest wysoka, ma długie nogi i coś z boiskowego urwisa. W niedzielę przed południem jechaliśmy razem z nimi na losowanie World Cup ‘94. Było miło, gdy Akers-Stahl chwaliła nasze piłkarki i... wspominała jeden z ich występów na Sardynii. Tam jak Michelle nas zapewniała, padł sensacyjny remis 1:1, co w świetle ostatnich sukcesów Amerykanek, było wyczynem godnym uznania.

Losowanie mistrzostw mężczyzn odbyło się w małej sali Madison Square Garden, zwanej potocznie The Paramount Theater. Usadowiliśmy się w siódmym rzędzie, tuż przed nami trener Stefan Kovacs, a zaraz za naszymi plecami słynny „Święty” i James Bond w jednej osobie czyli Roger Moore z dwoma swoimi „goryłami”. W przodzie cała elita FIFA: Joao Havelange, Hermann Neuberger, Sepp Blatter i inni. Kokietowała ich Barbara Eden, porywała wdziękiem gości z całego świata, ale ucałowała tylko Rogera Moore’a. Niewątpliwie była jedną z jego wielbicielk, jednak tym razem gorący całus był podziękowaniem i nagrodą za czek wartości miliona dolarów. „Święty” wręczył go prezydentowi FIFA jako dar dla UNICEF. Dobrzy ludzie kochają dzieci na całym świecie.

Nasza ekipa, jeśli idzie o czysto sportową stronę losowania, przyjęła je z godnością i spokojnie. Tylko raz przeszył nas dreszczyk emocji. Zналиśmy już czterech rywali: Anglię, Norwegię, Turcję i San Marino, kto jeszcze będzie? Stawialiśmy

na Austrię, ale tego życzenia los nie przyjął. Znowu pojawiła się Holandia. Boże, co za grupa! Prezes Górski cichutko zanucił tylko pierwszą frazę szlagieru z czasów swej młodości, śpiewanego przez Halinę Kowalewską: ... *Jest coś, co nas prowadzi dokąd chce, choć my gdzie indziej chcemy iść. Jest coś, co ludzkim losem zowie się...*

Co dalej ze Strejlauem? Czy zdoła skutecznie pociągnąć ten wózek? Takie pytania padły również na spotkaniu z generalnym konsulem w Nowym Jorku, Jerzym Surdykowskim. Wścibski red. Maciej Majewski z „Nowego Dziennika” wypalił prosto z mostu:

– Czy pan odchodzi z PZPN, panie Strejlau?

– Przyjechałem na losowanie. Czy nie dostrzega pan tu logicznego związku z moimi dalszymi planami?

– Ale z niektórymi zawodnikami zapewne już się pan pożegnał?

– Nie było takiego pożegnania! Kto zagra w eliminacjach? Najlepsi z lig zagranicznych, czołowi olimpijczycy i wyróżniający się piłkarze kadry B. Będzie rywalizacja. Nikt nie trafi do zespołu na kredyt.

Tak rzeczywiście było, ale to nie wystarczyło na wygranie eliminacji w tak dostojnym towarzystwie. Słusznie obawialiśmy się głównie Anglii i Holandii, ale prezes włoskiej federacji Antonio Mattarese dostrzegł jeszcze jedno niebezpieczeństwo:

„Uwaga na Norwegię! W eliminacjach mistrzostw Europy zabrała nam trzy punkty”!

Nie były to strachy na lachy – rozumne ostrzeżenie. Nie potrafiliśmy się temu przeciwstawić! Przegraliśmy oba mecze z Norwegami, u nich 0:1, a u siebie 0:3. Jak to się wszystko porąbało. Niegdyś Foryś i jego drużyna rozgromiła Norwegię 9:0! Po wpadce w Oslo cieszył się tylko red. Majewski z Nowego Jorku, bo Andrzej Strejlau podał się do dymisji. Zastąpił go Lesław Ćmikiewicz. Nic nie wskórał, miał do dyspozycji szczątki reprezentacji, wszystkie trzy me-

cze przegrała: w Poznaniu z Norwegią 0:3 (!), z Turcją w Stambule 1:2 i znowu w Poznaniu z Holandią 1:3. Fatalny bilans: tylko trzy wygrane, dwie z San Marino i jedna z Turcją oraz dwa remisy z Holandią i Anglią. Lament się rozrastał. A zaczęło się z uśmiechem na ustach...

Do pierwszych spotkań o punkty mistrzostw świata w USA reprezentacja była dobrze przygotowana. Bez zakłóceń realizowano wszystkie plany szkoleniowe. Otwarcie było więc wymarzone, najpierw w Poznaniu wygrana z Turcją 1:0, a potem remis 2:2 z Holandią w Rotterdamie. To nowa jakość. Przez wiele lat wybrańcy niemal wszystkich kapitanów PZPN, selekcyonerów i trenerów na starcie każdej wielkiej imprezy rangi międzynarodowej najczęściej zostawiali w dołkach i dopiero na finiszu – mocno przyparci do muru – starali się odraabiać straty. Za późno. Od pewnego czasu reprezentacja lepiej prezentowała się na początku rozgrywek, a fatalnie na końcu. Rezultat tej odmiany był jednak taki sam: niegdyś wyłącznie „łabędzi śpiew”, teraz tylko „słomiany ogień”. Brak stabilizacji i wytrwałości w dążeniu do celu. Takiej huśtawce nastrojów nie potrafili się przeciwstawić ani Łazarek ani Strejlau.

W roku 1986 Wojtek miał prawo puszyć się jak paw, po bezbramkowej przeprawie z Holandią w Amsterdamie, a w 1992 Andrzej właśnie po remisie 2:2 w Rotterdamie. Prezes Górski i ja odczuliśmy jednak pewien niedosyt. Pomeczowe toasty to potwierdziły. Nie było iskier w oczach. Ten mecz można było wygrać. Pogoń za „nowoczesnością” odebrała zdrowy rozsądek. Grano w ustawieniu 1+3+5+2. Prowadziliśmy 2:1, ale z każdą minutą wzrastał napór „pomańczowych”. Tymczasem nasze trio obronne Adamczuk – Szewczyk – Lesiak ku ogromnemu zaskoczeniu nie miało dostatecznego wsparcia w pięcioosobowej drugiej linii. Holendrzy wyrównali, było 2:2 i obawa, że może być jeszcze gorzej. W ataku osłabł Wojtek Kowalczyk. Miał prawo, bo się naharował, tuż przed zakończeniem meczu zastąpił go o 15 lat starszy Włodzimierz Smolarek.

Robił, co mógł, ale bardzo korzystną sytuację na zwycięstwo 3:2, spartolił. Znowu tylko miłe złego początki...

Ten remis z Holandią wstydu nam jednak nie przyniósł, całe zło dopadło Strejlaua i jego drużynę dopiero wiosną 1993 roku. W pewnym stopniu wpływ na słabiutkie wyniki w kilku meczach towarzyskich miał „syndrom srebrnego medalu olimpijczyków” na Igrzyskach w Barcelonie. Niektórym działaczom, trenerom, a najbardziej zawodnikom po tym sukcesie co nieco poprzewracało się w głowach. Najenergiczniej Wojtek Kowalczyk wymachiwał transparentami. Domagał się zmiany kierownictwa PZPN, natomiast pod niebiosa wyniósł młodych finalistów olimpijskich. – *„Zmieniamy szyld i jedziemy dalej”*.

Prezesa Górskiego okrzyki te ani nie ziębiły, ani nie parzyły, ja udawałem, że ich nie słyszę, tylko trener Strejlau mocno to przeżywał. Tu i ówdzie sugerowano, że powinien go zastąpić Janusz Wójcik, zaś jego „olimpijska młodź” zluzować – tak jak życzył sobie tego Kowalczyk – już nadmiernie wyeksploatowanych rutyniarzy. Do rewolucji kadrowej jednak nie doszło. Sporą niespodzianką było tylko przejście Wójcika z PZPN do Legii. Wojskowi akurat poszukiwali trenera z charyzmą. Temat znałem, przeto w miarę szybko w mieszkaniu Henryka Loski, przy którymś z kolei rozdaniu brydża, zapytałem młodego trenera:

– Panie Januszu, jest pan na fali, ambitny, rodowód ma warszawski... W PZPN-ie już coś dobrego pan zrobił... Czy teraz nie należało by popracować w stołecznym klubie?...

– Cały czas myślę – odpowiedział Wójcik w swoim stylu. – Na wygodny fotel, grzane wino i ciepłe bambosze mam jeszcze sporo czasu...

Redaktorzy Mirosław Skórzewski i Grzegorz Stański, także gospodarz spotkania magister inżynier udawali, że nie widzą i nie słyszą. A przecież wszyscy trzej dobrze wiedzieli o czym ja mówię, a Janusz... marzy.

- Skończcie tę zabawę w ciuciubabkę – zirytował się Loska.
- Legia naprawdę potrzebuje trenera! – Starąłem się zachować powagę.
- A ja szukam pracy! – odpalił Wójcik.
- W Łodzi, w Poznaniu czy w Bydgoszczy? Bo takie wieści krążą po Polsce?...
- W Warszawie również...
- No to wszystko jest jasne! Grzesiu rozlej po lampeczce! – rozkazał Miruś.

Ustaliliśmy, że w sprawie ewentualnego zatrudnienia Wójcika na Łazienkowskiej, ja porozmawiam z red. Stefanem Grzegorzczakiem, moją bratnią duszą w dziennikarskiej profesji, a teraz rzecznikiem prasowym Legii. Finał powszechnie znany: już na „dzień dobry” Janusz kulejącą dotychczas Legię poprowadził w Zabrzu do zwycięstwa 3:0! Prawdziwe wejście smoka! Prawie wszyscy zadowoleni. Tylko Henio Loska miał po tym mocno zakrapianym spotkaniu brydżowo-pokerowym nietęgą minę. Przegrywał „jego” Górnik, a żona Krysia też za słodka nie była. Wróciła właśnie z podróży służbowej i przed pójściem do wanny wzięła ją chętką na drinka. Zajrzała do lodówki, poszperała w baraku – wszędzie pusto.

- Heniu? – zapytała. – Gdzie schowałeś koniak i whisky?...

Byli tu niedawno u mnie koledzy. Graliśmy w karty. Widocznie oni wypili...

- Co ty mówisz?! Wszystko?!... Od lat przyjmuję tu gości z telewizji i estrady i coś podobnego jeszcze się nie zdarzyło... Musiała tu być jakaś mocno trunkowa drużyna...

– Znam mocniejsze – rezolutnie odpowiedział – „mąż swojej żony”... To tylko Janusz, Jurek, Mirek i Grzesio...

Rok 1992 był dla PZPN, w porównaniu z kilkoma ostatnimi „chudymi latami”, dość udany. Zrekonstruowano wewnętrzną strukturę Związku, powołano Sąd Polubowny, zaproponowano utworzenie związku zawodowego piłkarzy, pomyślnie kontynuowano negocjacje finansowe w sprawach transmisji

telewizyjnych i reklam, pozyskano kilku sponsorów. W ślad za udanym mariażem PZPN – Fundacja Olimpijska zawarto porozumienie zmierzające do utworzenia Fundacji Piłkarskiej Reprezentacji, zwanej potocznie „Fundacją Buechnera”. Akurat tu korzyści były niewielkie, w sumie jednak konto finansowe PZPN wyraźnie wzrosło i stało się podstawą dla merytorycznej działalności jego ogniów.

W tej kwestii najwięcej do powiedzenia miała komisja rewizyjna, o dziwo – także w sprawach szkoleniowych. Znowu oryginalnymi ocenami błysnął Jacek Bertlejewski. Jego „Analiza wyjazdów zagranicznych wszystkich reprezentacji” była druzgocąca: koszty duże, wyniki małe! Pochwalił natomiast „działkę” wiceprezesa Mariana Dziurowicza. To było do przewidzenia, mocno popierała się śląska „grupa nacisku”. Zawarto dwie umowy z firmą Saatchi and Saatchi, Sports Events and Licensing Limited w sprawie transmisji telewizyjnych i radiowych. Wartość całego kontraktu opiewała na 2,8 miliona dolarów USA. Pełne zadowolenie: – „Realizację umowy z Saatchi and Saatchi uznać należy za dobrze wykonaną i rokującą uzyskanie przewidywanych zysków”. Ten i ów z przyzwyczajenia podrapał się po głowie, ale głośno nie zgłaszał żadnych wątpliwości.

Trwał jednak spór na linii PZPN – ADMIRAL. Anglicy nie wypłacili raty i nie dostarczyli kolejnej porcji sprzętu, bo wbrew umowie – nasza reprezentacja olimpijska wystąpiła w Barcelonie w strojach ADIDASA. Na szczęście ten konflikt zażegnano, co też w sprawozdaniu komisji rewizyjnej na wyrost ubarwiono: – „Należy zatem oczekiwać, że umowa w 1993 roku doczeka się pełnej realizacji i rozwinięciem współpracy w latach następnych”. Pobożne życzenia, bo żadnej „realizacji” nie było. Wkrótce podobny los spotkał FUNDACJĘ BUECHNERA i spółkę „POLFOOTBALL” z 60-procentowym udziałem PZPN. Żałosny koniec działaczy pozujących na menedżerów.